

Jakub T. Jankiewicz

Wigo

Widzimy jak idzie, buciorami roztrącając porannych kropel rosę z wiosennej zieleni traw. Idzie coraz dalej ginąc w porannej mgle. Doganiamy go, lecz nadal w lekkim oddaleniu, nie widząc jego twarzy. Bezwietrzny chłód, zmusza go do opatulenia się płaszczem. W dali widać już drzewa, lecz nie widać jeszcze liści. Czy tam są? Lewą ręką odgarnia włosy do tyłu. Opadają mu na ramiona. Chyba czarne, lecz kolor ich zmienić się może, gdy blask padnie znad wschodu. Już tylko godzina, już szarzeje. Wchodzi między drzewa, czuć wilgoć w powietrzu. Trzyma wysoko długie zawiniątko, by nie wytrąciły mu je krzaki tarniny. Podążamy dalej w pewnej odległości, widzimy jak przedziera się wśród gałęzi, tych czy innych krzewów. Ciemno w lesie, nie widać dokładnie. Cały czas uważa na długi przedmiot, który trzyma w dłoni. Może to kij, ale czemu w coś owinięty. Przystanął, zdawało się że coś usłyszał, na chwilę tylko, by dalej ruszyć swoją drogą.

Coraz jaśniej, lecz nadal nie widać wschodniej tarczy. Czy widzi ścieżkę przed sobą? Gdzie ona? Światło w oddali, lecz nie na wschodzie, tamto byłoby za plecami, to przed nim tuż tuż; głosy jakieś przytłumione zieleniącymi się już liśćmi. Krzyk, odpowiedź. Jakieś nie z tej bajki frazesy. Czyżby hasła, szyfru jakiegoś? Wołanie.

– Dalejże, podejdź no do ognia, żebyśmy mogli cię zobaczyć.

Ciepło. Rozpina płaszcz, pod nim dziwny sweter chyba jakiś, pochrzęstuje z kólek stalowa kolczuga. Lewą dłonią, na środku, chwyta zawiniątko, prawą za brzeg mocno pociąga. Błysk, ognia odbicie. Przez chwilę nawet widać było dwie postacie, jednego chudego, drugiego już nie bardzo, sączącego coś z butelki, którą zdążył położyć na ziemi i krzyknąć.

– Co ...

i zadławił się krwią, która oprócz ust zalała także ognisko, ale tylko trochę, nie gasząc czerwonego blasku, byśmy mogli zobaczyć jak drugi wstaje i próbuje wyciągnąć coś spod sportowej kurtki, którą miał na sobie. Nie zdążył, cokolwiek to było, przygnięcione zostało pomiędzy nim a ogniem, który zaczął chciwie trawić jego odzienie.

Odwraca się. Widzimy twarz. Cóż to za twarz? To maska. Czy wymalowany farbą jakąś, strach by chciał w ludziach wzbudzić? Idzie przed siebie, lekki wiatr rozwiewa mu włosy. Wygląda jak duch jakiś z tym mieczem, który zdążył, nie wiedzieć kiedy, schować. Czy go wytarł? Krew na pewno została po mordzie, tych z przed chwili.

Gdy buty jego mokre, z pomiędzy drzew na trawę znów wstąpiły, jasny blask oświetlił jego twarz. To człowiek, człowiek nie upiór żaden, dlategoż więc krew tą ludzką, prawie nocą rozlał. Serca te ludzkie na zawsze zatrzymał.

Idzie dalej wdychając rześkie powietrze, a serce jego miarowym rytmem bije, nie przyspieszone. Dźwięk, uderzenie o kamień zniecierpliwione w oddali, rozchodzące się w mglistym poranku. Rżenie. Czy to naprawdę koń? Tutaj na tym odludziu. Z jednym żywym człowiekiem, bezludziem można by go nazwać wkrótce – pomyślał wsiadając na rumaka. Już gna, mgły coraz rzadsze. Miecz jego za plecy przerzucony, skórzanym paskiem przez pierś z przodu przytwierdzony. Włosy rozchwiane i płaszcz trzepoczący. Miecz pod płaszczem cicho siedzi.

Cisza, tylko wicher porusza konarami drzew i liście nucą słodką pieśń, gdy tętent coraz mocniejszy, w apogeum swoim, tysiące chyba krakających ptaszysk do lotu porwał; już ciemno, gdy dęba koń stanął, cudem tylko chyba jeźdźca nie strącając. Czy cały dzień jechał? Czy dzień to ten sam? Kiedy on odpoczywa, straceniec. Dokąd zmierza?

Kolejny ranek, zwinnym ruchem, prawie że wskakuje na konia swego. Ognisko dogasa. Czerwone pasy chmur sunących po niebie, przepiękny wschód zapowiadały. Złotych promieni blask, lewe ramię oświetla – na północ gna. Tam wzgórza zielone i pól uprawnych kolorowe szachownice. Gdzieniegdzie drzewa i domy. Dachy ich czerwone widać już z daleka.

Już wjeżdża między domy miasteczka. Cicho. Zamknięte okiennice. Cóż to? Gdzie ludzie? Czy wczesny ranek nie zbudził ich jeszcze? Czy gdzieś wyjechali? Słysząc bicie dzwonów. Co to za dzień? Nagle... dzieciarnia z krzykiem wybiega. Zsiada z konia. Idzie tam gdzie one. Jedno się nie boi. Stoi i patrzy. On wyciąga miecz z pochwy na plecach. Zamach. Powstrzymany. Kto to? To mnich w czarnym habicie, tuż za nim złapał go za rękę. Odtrąca go, odwraca się i pcha na piach. Sztychem miecza przybija do ziemi.

– Przeklęty...

Mnich skonał. A tamten odwraca się. Gdzie dzieciak. Na placu pusto. Tylko ciało z wbitym mieczem leży. A obok on. Wyciąga miecz i wyciera go o habit.

Stoi nieruchomo. Patrzy w okno powyżej. W nim kraty. Czy to wiezienie? W biały strój odziany. Czarne włosy jego opadają na ramiona. Zgrzyt klucza w drzwiach. Skrzyp drzwi.

– Pójdiesz ze mną.

Idziemy za nimi. Czy to strażnik? Wąski korytarz, wzdłuż niego wiele białych drzwi po obu stronach. Ten co idzie przodem otwiera zamek. Idą dalej, inny korytarz, takie same drzwi. Zatrzymują się przy jednych, takie same – numer 37. Pokój. Za biurkiem siedzi starszy pan w białym fartuchu.

– Siadaj.

– Jak się dziś czujemy?

– Nadal milczysz?

– Zrobimy dzisiaj coś innego. Widzisz to pudełko kartonowe, tam w rogu, przynieś.

Wstaje i idzie w kąt. Wraca z pudłem, coś w nim pochrzęstuje. Stawia pudło na biurku.

– Proszę, zbuduj mi z tych klocków miasto.

Wysypuje zawartość pudełka. Układa... Miasteczko. Park z drzewami. Uliczki. Rynek. Na rynku kościół. Skończył. Zabrakło drewnianych klocków.

– W porządku. Wygląda jak jakieś miasteczko, byłeś tam?

Jednym ruchem wrzuca wszystkie klocki do pudła, niszcząc swoje dzieło. Później wychodzi. Drzwi zamykają się za nim.

– Doktor powiedział mi, że nie musimy wracać do izolatki. W siódemce jest wolne łóżko.

Idą wzdłuż rzędu drzwi. Bliżej niż w drugą stronę. Otwarte drzwi z wytartą liczbą siedem. W środku łóżko zasłane. Siada. Jego towarzysz coś mruczy pod nosem. Za oknem noc. Kraty. Kładzie się i zasypia.

Następny dzień, widzimy jak wjeżdża w szpaler topoli wzdłuż drogi. Na końcu pobielaną chatę już widać. To stamtąd szczekanie słychać donośne. Jedzie jakby nie słysząc. Koń jego niespokojny, szczekaniem strwożony. Dojeżdża do chaty. Zsiada z konia. Szybkim ruchem miecza, tnie psa bez litości. Zapada cisza.

Już wieczór, do miasta wjeżdża. Widzimy jak mija stojące samochody. Cicho tu,

powinien być już gwar. W oddali wyją syreny. Dziwny ich dźwięk przez wiatr zniekształcony – Koń niespłoszony. Po chwili, powoli, mija znak zakazu wjazdu. Dalej bruk. Odwraca się i widzi, zbliżających się samochodów sylwetki. Jedzie dalej, syreny, teraz, z obu kierunków uliczki brukowanej. Przyspiesza. Kłus. Galop. Cwał. Wyciąga miecz. Na złamanie karku gna, szalenie. Blokują drogę, dwa, srebrno-białe pojazdy i migające niebieskie światła. Zbliża się w ich kierunku.

– Stój – nie zważa, na nic.

– Stój, powtarzam – podków staccato.

Nagle strzał. Jedzie dalej. Następny. I jeszcze jeden. Chwieje się w siodle, miecz stuka o bruk. Zwała się ciało na ziemi. Czerwone plamy na kolczudze. Krew wypływała z ran, powoli, a razem z nią jego życie. Po policzku płynnie jedna samotna łza. Już wsiąka w piach, między kostkami bruku. Zaczyna padać deszcz. Ostatnią resztką sił mówi:

– Wigo...

Lecz nikt nie słyszy.